

## Tęsknota za Międzymorzem

Międzymorze posiada już dziś solidniejsze podstawy – ale też, choćby ze względu na liczbę państw regionu, o wiele więcej potencjalnych sfer konfliktu



Idea Międzymorza nie jest jedyną, która odwołuje się do konkretów natury politycznej, strategicznej i gospodarczej, posiada solidne zakorzenienie w przeszłości, *background* intelektualny, a nawet życzliwe jej potęgi – i mimo to jej zwolennikom nie udaje się przewyciężyć siły bezwładności, sceptycyzmu miejscowych elit politycznych, przywiązania do partykularnych rozwiązań.

Zacząć wypadałoby najprościej, od zakreślenia granic omawianej kwestii, by nie spotkać się z zarzutem, że przykrawa się je do postawionej tezy. Cóż, kłopot w tym, że „regionu Międzymorza” nikt nie zmierzył arszynem – i podobnie, jak z bardziej znanym podmiotem politycznym, opiewanym przez Tiutczewa, przychodzi nam weń wierzyć. Tym bardziej, że już na wstępie pojawiają się jego dwie konkurencyjne definicje, odwołujące się do geografii oraz historii i polityki współczesnej.

Z tą geograficzną można sobie jeszcze jakoś poradzić: jeśli uznać, że „Międzymorzem” jest obszar między Adriatykiem, Bałtykiem a Morzem Czarnym (choć konkurentem tego ostatniego bywało w kilku projektach Morze Egejskie, zdarzali się też entuzjaści, co sięgali w swoich definicjach aż po Morze Białe), nawet przy fantazyjnie malowanej kresce z grubsza wiadomo, o jaki obszar idzie: od znakiem zapytania staje przynależność Grecji, południowej części Bułgarii czy wschodnich landów niemieckich, poza tym jednak wszystko jasne.

Co jednak, jeśli uznamy, że obszar Międzymorza definiowany jest przez „pozostawanie, często wbrew własnej woli, w nakładających się na siebie obszarach wpływów Moskwy, Berlina i Ankary”? Z pewnością o przenikanie się tych wpływów najłatwiej w wyżej wspomnianym trójkącie. Zarazem nie sposób przecież nie odnotować, że z jednej strony – z rywalizacją co najmniej dwóch z tych podmiotów miewamy do czynienia również na obszarach bez reszty pozostających poza granicami Mitteleuropy: w przypadku Moskwy i Ankary przedmiotem takiej rywalizacji i wpływów jest w pierwszej kolejności cały Kaukaz i

szerzej, poradziecka Azja Środkowa, rozmaite gry o wpływy Ankary i Berlina, tym bardziej zaś – Moskwy i Berlina toczą się w znacznej mierze poza naszkicowanym powyżej trójkątem Międzymorza.

Z drugiej zaś strony – oczywista jest asymetria wpływów trzech potęg, „negatywnie definiujących” ów trójkąt, wynikająca z różnego ich znaczenia i potęgi, zarówno historycznie, jak współcześnie. O ile Berlin i Moskwę można uznać za niemal podstawowe czynniki determinujące kondycję międzynarodową krajów, znajdujących się w obrębie trójkąta (choć w znacznie większej mierze dotyczy to krajów bałtyckich i wyszehradzkich niż bałkańskich), o tyle rola Ankary (Istambułu) jest już znacznie bardziej zniuansowana: rozstrzygająca o losach krajów bałkańskich u progu nowożytności, znacząca dla nich – i rosnąca – współcześnie, jest – wyjąwszy ważne epizody w relacjach polsko-ottomańskich – zdecydowanie drugorzędna w krajach położonych na północ od łuku Karpat.

To definiowanie obszaru Intermarium poprzez odwołanie się do trzech zewnętrznych, dominujących i potencjalnie zagrażających suwerenności potencji (gdyby rozważania nasze dotyczyły nie współczesności, lecz epoki nowożytnej, w roli „trzeciego wierzchołka trójkąta” Ankarę / Istambuł zastąpiłby, rzecz jasna, Wiedeń Habsburgów) stanowi, rzecz jasna, jedynie odrobinę bardziej zdyscyplinowany, za sprawą zawężenia tematyki do relacji politycznych i gospodarczych, wariant rozważań o wiele szerszych i bardziej popularnych: sporu o istnienie, istotę i elementy definiujące Europę Środkową vel „Mitteleuropę”.

Nawet pobieżne streszczanie tej debaty nieuchronnie rozsądziłoby ramy niniejszego szkicu: mamy bowiem, przypomnijmy, z dyskusją, którą toczą od blisko dwustu lat geografowie, politycy, stratedzy kawiarniani i ci, dysponujący narzędziami realizowania swoich pasji; historycy, literaturoznawcy, począwszy zaś od połowy XX wieku coraz częściej również eseści.

Geografowie, osobiwie niemieccy, począwszy od lat poprzedzających Wiosnę Ludów, kroić będą nasz kontynent wzdłuż osi północ-południe, wschód-zachód i ukośnie - by, uwzględnwszy jeszcze bieg wielkich rzek, z Dunajem na pierwszym miejscu, wnioskować z tego, piórem Karla Andree, Juliusa Fröbela czy Johanna Geорга Kohla o istnieniu Mitteleuropy - i szczególnych, dodajmy od razu, zadaniach Niemiec względem tego obszaru. Ten nurt myślenia w pokolenie i dwa później później, pod piórem Friedricha Lista, w szkicach Josepha Partscha (który o Europie Środkowej pisał w 1903 wspólnie z legendarnym Halfordem Mackinderem) czy Friedricha Naumanna bardzo już konkretnie wpłynie na myśl Berlina o (pod)porządkowaniu obszaru Międzymorza w dniach I wojny światowej i później.

Nieco później, i ze znacznie mniejszymi ambicjami (oraz możliwościami) wpływania na polityków nad Europą Środową zaczną zastanawiać się Oskar Halecki, Jenő Szűcs, Piotr Wandycz, a wreszcie Klaus Zernack, Karl Sihhuber i Jerzy Kłoczowski. Dyskutowany przez nich obszar będzie podobny, co zakreślony powyżej: jedni wyróżniać w nim będą „wyszehradzki rdzeń” i przyległe, sporne regiony północne i południowe, inni - mówić o dwóch centrach, położonych na północ i południe od Karpat. Intuicja dotycząca granic obszaru będzie jednak wspólna, znacznie trudniej przyjdzie im uzgodnić, co mianowicie

region ten definiuje. Odwoływano się do osadnictwa na prawie niemieckim, do rywalizacji Kościołów Wschodu i Zachodu, do tradycji „małych potęg wielonarodowych” (Rzeczypospolitej, Korony św. Stefana, tronu Habsburgów, w nader zaś rozszerzonych interpretacjach – również średniowiecznej Serbii czy Bułgarii), do kolonizacji niemieckiej z równoległym funkcjonowaniem świata kultury aszkenazyjskiej – większość tych prób jednak kończyła się na uznaniu za dystynktywne dwóch doświadczeń: „bycia pomiędzy” (monolitycznymi potęgami, obszarami panowania, a przynajmniej dominacji, jednej religii i jednego języka) oraz „rozdrobnienia i wielonarodowości”.

Fatalnie to nieprecyzyjne – zwłaszcza, jeśli zauważyć, że spośród trzech „potęg zewnętrznych” dwie przynajmniej (Moskwa i Istambuł/Ankara) współdzieliły doświadczenie istnienia na ich obszarze wielu wyznań, tożsamości narodowych i języków. Nic więc dziwnego, że samą ideę „Europy Środkowej” stale nicowano, w modnym duchu teorii krytycznych uznając, że stanowi ona jedynie wygodny dla polityków i historyków „konstrukt”; Jürgen Kocka i Michael G. Müller skłaniali się wręcz, niezależnie od siebie, do uznania, że w gruncie rzeczy obiektywnie nie istnieje żadna „Europa Środkowa: mamy do czynienia jedynie z czymś na kształt „mitteleuropeizmu”, niewiele różniącego się od osławionego „orientalizmu”, zdefiniowanego przez Edwarda Saïda. Inni badacze zadawali się dalszym dzieleniem europejskiej szachownicy, by tworzyć definicje „Europy Środkowowschodniej” (East Central Europe, Ostmitteleuropa) lub wręcz tak uroczo paradoksalne, jak „Zachodnia Europa Wschodnia” (Western Eastern Europe), wyrosła pod piórem Holma Sundhaussena.

Co dopiero, kiedy za rozważania o Europie Środka zabrali się eseiści, od Timothy G. Asha po Radosława Zenderowskiego, z nader ważnymi głosami Brodskiego, Kundery i Miłosza, kiedy w duchu środkowoeuropeizmu postanowiono odczytać Josepha Rotha, Zbigniewa Herberta i Danilo Kiša, kiedy wyszukiwania kolejnych autorów środkowoeuropejskich jał się kwartalnik tak ważny, jak „Zeszyty Literackie”? Okazało się – i piszę to bez szczypty ironii – że doświadczenia peryferyjności, zagrożenia, przegranej czy wręcz perspektywy zagłady są nie tylko pierwszoplanowe dla kondycji ludzkiej, lecz również niesłychanie nośne literacko. Prócz jednak rzeczowej, zbyt słabo chyba przetworzonej przez naukę uwagi Miłosza, że wschodnią granicę Europy Środka wyznacza linia ocalałych barokowych kościołów, mamy do czynienia przede wszystkim z zapisem doświadczeń. Wiemy z nich (więcej, dodajmy, niż z jakiegokolwiek innego znanego korpusu dzieł literackich, włącznie z literaturą rosyjską) o doświadczeniu bezradności człowieka wobec Historii. Wiemy o Zagładzie (która, mocą okrutnej konsekwencji wcześniejszych losów „Jidyszlandu”, dokonała się w ogromnej większości na obszarze Europy Środkowej), znamy, bezradni późni dziedzice, kruchą urodę *sztetlech*, spokojne piękno prowincjonalnych miast austrowęgierskich, z koszarami od czasów panowania Marii Teresy malowanymi na żółto, z topolową aleją i kawiarnią, gdzie można zamówić koniak Hennessy, znamy błoto Banatu i Polesia – ale wszystko to pozostaje smakowaniem nastrojów, rozkosznym i jałowym smakowaniem *differentia specifica* regionu. Można zginąć za zapach pieczonych kasztanów, można wznosić barykady z kawiarnianych stolików (owszem, to ostatnie praktykowano całkiem często) – ale nie da się na tym fundamencie stworzyć potęgi regionalnej. Królestwo bez kresów i miasto popiołów – to owszem.

Oczywiście, wraz z powrotem w te strony ładu i prawa po roku 1989 zrobiono wiele, by region zdefiniować, a poetyckie mgły skropić, otamować i zaprząć do pożytecznej pracy, np. do napędzania elektrowni wodnych. Wielki kartograf i historyk tego regionu Paul Robert Magocsi, pisząc o Europie Środkowej wyróżnił „Strefę Północną”, między Bałtykiem a linią Sudetów, Karpatów i rzeki Prut, z grubsza pokrywającą się z ziemiemi dawnej Rzeczypospolitej; położoną na południe od niej „Strefę Alpejsko-Karpacką”, ograniczoną z kolei rzekami Kupą, Sawą i Dunajem, z grubsza pokrywającą się z terytorium Austro-Węgier – bez Galicji, za to z księstwami naddunajskimi; oraz „Strefę Bałkańską”, z grubsza stanowiącą do połowy XIX wieku domenę Imperium Ottomańskiego.

Unijny ekspert Michel Fouchier wskazał (który to już raz?) na „kraje rdzenia”, czyli Polskę, Czechy, Słowację, Węgry, Chorwację i Słowenię” oraz „otulinę” bałtycko-kresowo-bałkańską, ekspert NATO-wski Daniel Calin uznał to samo za „Północną Europę Środkową”, „Europę Środkową sensu stricto” oraz „Europę Południowo-Wschodnią” – po czym grupa ekspertów ONZ ds. nazewnictwa geograficznego (UNGEGN) raz jeszcze przemieszała wszystko, zaliczając różne wyżej wymienione państwa już do „Grupy Bałtyckiej”, już to „Grupy Europy Środkowo-Wschodniej i Południowo-Wschodniej”, już to – „Wschodnioeuropejskiej i Środkowoazjatyckiej”, już to wreszcie „Rzymsko-Grecko-Śródziemnomorskiej”.

Doprawdy, lepiej już krążyć z Josefem Szwejkiem wokół Budziejowic.

A jednak. Przekonanie o wspólnocie interesów całego regionu jest na tyle silne, że – równoległe z dyskursem o Europie Środkowej, a początkowo całkiem niezależnie od niej – od blisko dwustu lat podejmowane są również próby wspólnego działania krajów i ludów regionu – w formule koalicji, konfederacji, sojuszu, unii – przeciwko zewnętrznym zagrożeniom dla suwerenności i imię wspólnych dla regionu racji.

Podobnie jak w przypadku debaty o tożsamości Intermarium, nie miejsce tu na streszczanie wszystkich tych inicjatyw. Zaczęły się co zrozumiałe, od prób – nie zawsze uświadamianych sobie może przez pomysłodawców – restytuowania istniejących w niedawnej przeszłości ponadnarodowych organizmów państwowych lub umocnienia istniejących, a słabnących. Wielkie konspiracje Hotelu Lambert odwoływały się w sposób wyraźny i do przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, i do ambicji jagiellońskich, choć ich rozmach (ci emisariusze, krążący od Hercegowiny po Kaukaz!) wyraźnie je przekraczał. Również późniejsza o dwa pokolenia myśl federalistyczna Józefa Piłsudskiego i jego współpracowników, choć ostrożna w odwoływaniu się do przeszłości, przez większość zarówno entuzjastów, jak oponentów odczytywana była jako próba odbudowy Rzeczypospolitej Wielu Narodów w jej granicach sprzed rozejmu andruszowskiego. Z kolei traktaty Aurela Popovici o „Stanach Zjednoczonych Wielkiej Austrii” – czym były, jak nie próbą uniknięcia rozpadu sędziwego Cesarstwa?

Tego błędu usiłował uniknąć Józef Beck – *notabene*, pierwszy, który współcześnie odwoła się do łacińskiego terminu Intermarium. Reszta projektu, podjętego w drugiej połowie lat 30., była na wskroś

współczesna – negocjacje z Londynem i Rzymem w kwestii zgody na budowanie przez Polskę „pasa małych państw”, przebudowa infrastruktury kolejowej i lotniczej w regionie koordynowana przez Międzyministerialny Komitet Doradczy, „magistrala kolejowa” łącząca Gdynię z Salonikami i naciski na Sofię i Bukareszt, by wzniosły łączący oba kraje most na Dunaju – a obok tego pomysły żywcem wzięte z czasów Stanisława Augusta: plany uczynienia żeglownymi Dniestru i Prutu, by przez Dunaj uzyskać wyjście na Morze Czarne.

W 1936 można było przynajmniej budować tory wodne i nasypy kolejowe. W sześć lat później można było tylko prowadzić ostrożne przymiarki do rozmów o ewentualnej federacji ze swoimi partnerami czechosłowackimi, greckimi i jugosłowiańskimi na wygnaniu w Londynie – wystarczyło jednak kilku intryg Sowietów i szczypty obojętności Sprzymierzonych, by z całego projektu została deklaracja Polskiego Państwa Podziemnego. Jeszcze po Jałcie nawiązywano przez chwilę do idei „Intermarium”, aż do roku 1952 „Federacja Klubów Europy Środkowej i Wschodniej” drukowała biuletyn pod tym tytułem, dyskutowany na posiedzeniach wychodźców w Rzymie, Londynie i Jerozolimie – jak pisze jednak Stefan Troebst, historyk tej idei, zaprzestano tego rychło po zawiązaniu RWPG i powstaniu Układu Warszawskiego: kto inny zajął się budowaniem sojuszu na ziemiach między Bałtykiem a Morzem Czarnym.

Owszem – w Londynie o Międzymorzu marzyła Liga Niepodległości Polski, w Paryżu, starał się jak najściślej „przylegać do rzeczywistości” we wszystkich krajach opanowanych przez komunizm, krąg „Kultury”. W dekadzie lat 80. co i raz pojawiać się będą odwołania do wspólnoty krajów i narodów zniewolonych Międzymorza: Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość” wydawała pismo „Adriatyk –

Bałtyk – Morze Czarne”, a związany z LDP "N" Piotr Pacholski założył Fundację Wschodnią. Sekcja Wschodnia PPS (!) ruszyła w roku 1987 z „Międzymorzem”, od 1988 podjęło prace Towarzystwo „Pomost”, Jan Malicki już w roku 1981 zaczął wydawać „Obóz”, a w trzy lata później założył w podziemiu Instytut Europy Wschodniej, przypłacając to rokiem więzienia.

Z jego inicjatywy wyrosło Studium Europy Wschodniej UW – ważna w świecie akademickim placówka i „kuźnia kadr”. Entuzjaści Międzymorza z kręgów LDP”N” i KPN w roku 1992 przyjęli specjalną odezwę w sprawie restytucji idei, ba powołali w Kijowie w roku 1994 Ligę Partii Krajów Międzymorza. Udało jej się zorganizować trzy kongresy. Co tam zresztą KPN – nawet CEED, czyli Instytut Badawczy Europy Środkowej i Wschodniej założony za środki samego Jana Kulczyka, ostatni „raport roczny” opublikował w roku 2014.

Oczywiście – istnieje Inicjatywa Środkoeuropejska oraz znacznie prężniejsza Grupa Wyszehradzka, która doprowadziła do zawarcia Środkoeuropejskiego Porozumienia o Wolnym Handlu, a w ostatnich miesiącach coraz śmielej wspólnie podejmuje inicjatywy wyraźnie kontruujące niemiecką politykę w kwestii uchodźczej, zyskując w tej sprawie kolejnych sojuszników w Unii. Do ściślejszej współpracy państw Europy Środkowej w ramach NATO nawołuje Stratfor, przebąkuje o tym gen. Ben Hodges, dowódca kadłubowych sił zbrojnych USA w Europie (USAREUR), o potrzebie budowy sojuszu na bazie idei Międzymorza wspomniał w przemówieniu inauguracyjnym w sierpniu 2015 roku prezydent Andrzej Duda.

To zrozumiałe: przekonanie o wspólnocie doświadczeń i wspólnocie zagrożeń wydaje się narzucać. Sądzę też, że warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną skłonność, która stanowić może mocny bodziec do przychylności dla projektów „międzymorskich”. Jako, że termin „multikulturalizm” został na długie lata ośmieszony przez zelotów poprawności politycznej, niech wolno będzie zaproponować w to miejsce określenie „fascynacja różnorodnością”.

Nic w tym zdrożnego, przeciwnie: odruchowo uciekamy od monotonii, szukamy wielości smaków w podróżach, w życiu i w przeszłości. Europa Środkowa i region Międzymorza, podobnie jak dawna Rzeczpospolita, stanowi idealną pożywkę dla tego rodzaju tęsknot: paleta ludów i narodów, języków, alfabetów i wyznań, skupionych na relatywnie niewielkim obszarze, pozostających ze sobą w stałej, dynamicznej wymianie i sporze, urzeka bez trudu; co dopiero, jeśli wziąć pod uwagę dorobek miejscowych intelektualistów, zwykle krytycznie zdystansowanych wobec wspólnoty, w której przyszło im żyć, lecz z perspektywy czasu najlepiej wyrażających jej pragnienia i potrzeby?

Taka wielość urzeka bez żadnych dodatkowych racjonalizacji – po prostu, jako element urody świata. Czasem wystarczy, jak w „Bożym igrzysku” Daviesa, wykres kołowy, ukazujący procentowy odsetek różnych języków i denominacji w Rzeczpospolitej Wielu Narodów. Czasem wzruszy opublikowany w czterech językach manifest Piłsudskiego „Do mieszkańców b. W. Xięstwa Litewskiego”, czasem szkic w „Zeszytach Literackich” o kulturze Bośni, Kresów lub Siedmiogrodu lub kanoniczny już cytat ze Stempowskiego/Hostowca: „W mojej ojczystej dolinie średniego Dniestru ziemianie mówili po polsku, włościanie – po ukraińsku, urzędnicy – po rosyjsku z

odcieniem odeskim, kupcy — po żydowsku, cieśle i stolarze — jako filiponi i staroobrzędowcy — po rosyjsku z odcieniem nowgorodzkiem, kabannicy mówili swym własnym narzeczem. Prócz tego w tej samej okolicy były jeszcze wsie szlachty zagrodowej mówiącej po polsku, takiejże szlachty mówiącej po ukraińsku, wsie mołdowańskie mówiące po rumuńsku; Cyganie mówili po cygańsku, Turków wprawdzie już nie było, ale w Chocimiu po drugiej stronie Dniestru i w Kamieńcu stały jeszcze ich minarety. (...)Wszystkie te odcienie narodowości i języków znajdowały się nadto, w stanie częściowo płynnym. Synowie Polaków stawali się nieraz Ukraińcami, synowie Niemców i Francuzów — Polakami. W Odessie działy się rzeczy niezwykle: Grecy stawali się Rosjanami, widziano Polaków wstępujących do Sojuza Russkawo Naroda. Jeszcze dziwniejsze kombinacje powstawały z małżeństw mieszanych. — Jeżeli Polak żeni się z Rosjanką — mawiał mój ojciec — dzieci ich są zwykle Ukraińcami lub Litwinami”.

Tak działo się, tak nieraz jeszcze, mimo XX-wiecznego *Gleichschaltungu*, dzieje się na skromniejszą skalę w dolinach Dniestru, Niemna czy kanionach Neretvy. Warto jednak zdać sobie sprawę, jak często tego rodzaju fascynacje mogą mieć charakter sentymentalny lub naskórkowy, nie przynosząc w efekcie wymarzonej „jedności w różnorodności”. Nawet świat przedstawiony przez Stempowskiego jest w gruncie rzeczy rozkręcającą się sprężyną nacjonalizmów i napięć, która za chwile zniesie naddniestrzańską idyllę. Z drugiej strony – wiele formacji politycznych, włącznie z totalitarnymi (jak Związek Sowiecki, czy – w wersji *soft* – titowska Jugosławia) lubi chwalić się, zwykle na poziomie „cepeliady” etnograficzno-kulinarnej, wielością tańców ludowych, szarf i sposobów warzenia kumysu: ma to ukazywać zarazem potęgę, rozległość i skalę

swobód zarazem, i od podobnych sentymentów nie jest wolna nawet nader różna od ZSRS Unia Europejska: dość spojrzeć na byle plakat reklamujący niepowtarzalne uroki programu Erasmus.

Jeśli jednak uwolnić się na chwilę – pierwszy przyznam, że to niełatwe – od zachwytu nad wdziękiem „małych narodów”, od tropienia Włachów i Torbeszów czy przegładania prometejskich papierów, w których akces do skierowanej przeciw bolszewii rewolty zgłaszają przedstawiciele „Karelo-Finów” i „Wolnego Azerbejdżanu” – co zostaje?

Zostają spory, które mają miejsce nawet w lidze prymusów środkowoeuropejskich: dość wspomnień na pat w relacjach między Polską a Litwą, na tarcia słowacko-węgierskie w obrębie tak dziś chwalonej Grupy Wyszehradzkiej. Co dopiero myśleć o „polach minowych” w możliwych relacjach polsko-białoruskich, o możliwościach klinca w relacjach Chorwacji z jej sąsiadami? A przecież dochodzi do tego cały potencjał konfliktowy państw, dziś stłoczonych w przypominającym grobowiec przedpokoju UE, o których mówi się dziś mało, lecz które brać musi pod uwagę każdy poważny architekt struktur politycznych Międzymorza: co z utrzymującym się paraliżem Bośni i Hercegowiny? Co z perspektywami dialogu między Belgradem, Prisztiną a Tiraną? Co z relacjami Aten i Skopje – już przedtem ugrzęzłymi w sporze o nazewnictwo, dziś dodatkowo dramatycznie skomplikowanymi w związku z falą uchodźców, zagrażających stabilności zarówno Grecji, jak Macedonii, falą, przed którą każdy z krajów próbuje się obronić kosztem drugiego?

Co więcej – idea „Międzymorza” pozostaje elitarną: rozpoznawalną (co nie znaczy, że powszechnie podzielaną) przez polskie elity polityczne, znajomą (i traktowaną z mocną rezerwą) przez elity litewskie, może część ukraińskich? Dalej jednak trudno szukać środowisk, którym jest bliska i znajoma: jeśli też pominąć anachroniczne odwoływanie się do krótkotrwałej wspólnoty państw, na których tronach zasiadali Jagielloni – jawi się też jako sztuczny, nie odwołujący się do doświadczeń politycznych konstrukt.

Oczywiście, dość zajrzeć do byle rocznika statystycznego, by przekonać się, że Międzymorze – już to ograniczone do państw-członków UE, już to rozszerzone o niestowarzyszone dotąd Bałkany lub Ukrainę – posiada potencjał populacyjny, militarny, ba, nawet gospodarczy, który pozwoliłby mu prowadzić dialog z pozycji równego lub silniejszego z każdą z trzech potęg „definiujących negatywnie” region. Tyle, że jest to „potencjał” w pierwotnym znaczeniu tego słowa: możliwość, którą trudno zrealizować. Ruda, czekająca dopiero na przetopienie.

Trudno wyobrazić sobie mobilizację Międzymorza, porozumienie między jego elitami i zdolność do wspólnych działań na poziomie regionalnym nawet, gdyby nie istniały żadne czynniki zewnętrzne, zainteresowane w osłabieniu takiego aliansu: zbyt wiele jest sporów i ambicji lokalnych. Tym bardziej we współczesnym nam czasie, kiedy posiadające już mandat polityczny i wieloletnią tradycję organizmy federalne w wielu przypadkach trzeszczą w szwach. „Kultura egotyzmu” zdominowała w naszych czasach postawy jednostek, ale przecież nie pozostaje bez wpływu również na zachowania wielkich wspólnot politycznych: dominuje pragnienie uzyskania własnej podmiotowości i wystąpienia, a bodaj i zdobycia laurów w coraz

donioślejszym „koncercie ofiar”, przywołujących nienaprawione krzywdy z przeszłości. Regionalizmy i separatyzmy mają się świetnie – znacznie gorzej z sojuszami regionalnymi, by już nie wspominać o aktach zjednoczenia czy stworzenia bodaj konfederacji.

Idea Międzymorza nie jest jedyną, która odwołuje się do konkretów natury politycznej, strategicznej i gospodarczej, posiada solidne zakorzenienie w przeszłości, *background* intelektualny, a nawet życzliwe jej potęgi – i mimo to jej zwolennikom nie udaje się przewyciężyć siły bezwładności, sceptycyzmu miejscowych elit politycznych, przywiązania do partykularnych rozwiązań. Za pokrewny przykład (a po trosze i przestrozę) służyć może choćby stosunkowo mało znany w Polsce hellenoturkizm – myśl o stworzeniu konfederacji, przewyciężającej animozje grecko-tureckie, odwołującej się do tradycji i terytorium Cesarstwa Bizantyjskiego. W drugiej połowie XIX wieku był to liczący się nurt polityczny wśród polityków Królestwa Grecji, świadomych, że większość Greków pozostaje pod panowaniem sułtana; już niemal współcześnie, w latach 60. XX wieku, historyk i polityk Dimitri Kitsikis, ówczesny doradca prezydenta Grecji Konstantinosa Karamanlisa, stał na czele zespołu szkicującego, we współpracy z Ankarą, projekty Konfederacji Grecko-Tureckiej, której parlament zasiadałby w Istambule. Koncepcja, która przy okazji rozwiązywałaby również problem podzielonego Cypru, przywoływana była wielokrotnie, również podczas zapaści finansowych Grecji w ostatnich latach – i pozostała konceptem całkowicie „papierowym”, chociaż konfederacja taka stałaby się potęgą regionalną dominującą na Bałkanach i we wschodniej części Morza Śródziemnego.

Międzymorze posiada już dziś solidniejsze podstawy – ale też, choćby ze względu na liczbę państw regionu, o wiele więcej potencjalnych sfer konfliktu, dużo większą ma też „siłę bezwładności”. Pisze o tym z przekonaniem, że posiada ono potencjał, nad którego uruchomieniem trzeba pracować – ale też sądząc, że w miejsce karmienia się kojącymi opowieściami o wspólnocie doświadczeń i „kresowej polifonii” z esejów Hostowca bardziej wskazany byłby gorzki realizm, z jakim niepowodzenia zgody najciężej nawet doświadczonych przez nazizm i komunizm narodów opisywał Józef Mackiewicz.

*Wojciech Stanisławski*

Tekst pochodzi z 10 numeru Teologii Politycznej Co Tydzień, pt.  
Projekt Intermarium